Rozmaitości

Dnia 12. Sierpnia **Nr 32.** **1837 Roku.**

POLOWANIE ARTYSTY.

(Z *Revue de Paris* przez p. Meri.)

(Dokończenie.)

»Bogu dzięki!« zawołał pan Chay. »A więc jestem w Tulonie; o dziesięć godzin drogi od Marsylii. Teraz prędko poszukajmy wygodnéj oberzy i połóżmy się do łóżka.«

Zaszedł na széroką, prosto-ległą ulicę, w któréj kilka jeszcze sklepów było otwartych. Przy świetle latarni spostrzegł godło oberzy, czarnego orła. »A zawsze ten czarny orzeł« rzekł; »lecz mniejsza o to! *Garcon*, pokoju i wygodnego łóżka.«

Milczący *Garcon*, w białéj mycce i w widocznym stanie somnambulizmu, zaprowadził go do pokoju, postawił świécę na stole i odszedł. »Tak to« rzekł pan Chay »dzieje się podróżnym, którzy nie zajeżdzają z hałasem, jak wielcy panowie; ja nie mam nawet tłómoczka!«

Zrobiwszy tę melancholiczną uwagę, rozebrał się z rozkosznem uczuciem i zanurzył się, niech tak rzekę, w łoże, jak w świéżą kąpiel. Sen wynagrodził mu wszystkie bezsenne nocy; byłto sen spokojny, wesoły, różowemi przeplatany marzeniami. Słońce i pan Chay wstali o jednym czasie, jak dwaj przyjaciele na jedném spoczywający łożu. Pan Chay zadzwonił. Wszedł *Garcon* i ujrzał pięcią-frankowy talar z następującą przemową potoczonym po stole: »To za pokój i dla ciebie przyjacielu!« To rzekłszy odszedł artysta powoli wschodami, ze strzelbą w futerale pod pachą.

»Co widzę!« rzecze pan Chay, »Tulon ma ładne ulice. Gdybym miał czas, oglądałbym zbrojownię. Ale przedewszystkiem trzeba poszukać powozu do Marsylii, by tam jeszcze przed nocą stanąć.«

Zbliżyło się kilku razem furmanów, których powozy stały na wielkim placu. Jeden z nich zapytany, kiwnął głową w znak odpowiedzi i wskazał na swój powóz, gdzie już trzy osoby siedziało i tylko czwartéj zdawały się oczekiwać.

— »Czy zaraz pojedziemy?« zapytał pan Chay. Woźnica wsiadł na kozieł i znowu kiwnął głową.

»Wybornie!« zawołał p. Chay; »od wczoraj idzie mi wszystko według życzeń.«

Pozdrowił towarzyszów podróży, w głębokiem ponurzonych milczeniu. Powóz jak błyskawica potoczył się w drogę. Pana Chay prawie rozpacz brała na milczenie kolegów i kilkakrotnie usiłował zawiązać rozmowę. I tak n. p. odezwał się: woźnica tęgo jedzie; albo: śliczny dzień mamy, albo: wolę jechać w powozie, niż płynąć na okręcie; te wszystkie dowcipne spostrzeżenia zostały wszakże bez odpowiedzi. Uważając że potrzeba bezpośrednio przypuścić atak, z następującemi słowy zwrócił się ku sąsiadowi:

»Nie mógłbyś mi wpan powiedzieć, kiedy zajedziemy?«

— »*Alle venti tre*«, odpowiedział sąsiad.

— »*Alle venti tre*! Pan jesteś Włoch? *Signor italiano?*

— »*Signor, si.*«

— »Z Nizzy?«

— »*Di Ferenze*.... z Florencyi.«

— »Z Florencyi! O, to wpan jesteś daleko od swojego miasta! Za pozwoleniem, a wpan mój panie?... zdaję mi się, żem go gdzieś widział... Nie jestesże wpan z Marsylii?«

— »*Signor, no... di Livorno?*«

—»Aha! wpan z Liworna. Nie byłem tam jeszcze.«

Teraz czwarty podróżny zabrawszy głos, rzekł: »*Jo sono di Pisa.*«

—»No proszę!« zawołał p. Chay z uśmiechem, »rzecz szczególna; trzech Włochów a jeden Francuz.«

—»Mówię trochę po francuzku,« odezwał się jadący z Pizy.

—»Tym lepiéj« odpowiedział pan Chay. Ja rozumię po włosku, ale nie mówię tym językiem. Jeśli mogę wpanu w czém usłużyć w Marsylii, proszę rozkazać.«

—»Wpan zbyt jesteś grzeczny.«

—»Stawiam się w położeniu waćpana. W krajach obcych często w kłopot wpaść można. Wpan nie byłeś jeszcze w Marsylii?«

—»Nie, mój panie.«

»Ładne ujrzysz miasto. Daleko ładniejsze niż Tulon. Zapewne interesa handlowe w Marsylii?«

—»W Marsylii?... Ja do Florencyi jadę.«

—»Aha! Z Marsylii popłyniesz pan okrętem do Florencyi.«

—»Nie, prostą drogą.«

—»Wodą?

—»Lądem.«

—»Pewnie pan boisz się wody?«

—»Nie, bynajmniéj.«

—»To może Anglików?«

—»Anglików? Nie rozumiém wpana. Mówię, że z tymi obu panami do Florencyi jadę.«

—»Więc i ci dwaj panowie jadą do Florencyi? Daleka droga, z dziesięć dni jazdy.«

—»Panowie Francuzi lubicie żarty. Dziesięć dni! Spodziéwamy się dziś wieczorem tam stanąć.«

—»We Florencyi?«

—»Nieinaczéj.«

—»Tym powozem?« zawołał pan Chay odchodząc prawie od zmysłów.

—»Tak jest, tym samym.«

—»Przez Marsylię?«

—»*E che diavolo Marsiglia.*«

—»I z kądże wpan jedziesz?«

—»Z tamtąd z kąd i wpan, z Liworna.«

—»Ja z Liworna?« krzyknął pan Chay niesłyszanym dotąd akcentem.

—»*E diavolo!* Jakże nazywasz to miasto, które dziś rano opuściliśmy?«

—»Tulon! Wszakże to przecież był Tulon, dokąd wczoraj wieczorem zawinąłem.«

Pizańczyk głośnym parsknął śmiéchem; pan Chay wytrzészczył oczy na niego.

—»Stój! przez Boga stój!« krzyczał pan Chay z całego gardła. »He! woźnica... konduktor! Zapewne wsiadłem do innego powozu; he konduktor!«

Konduktor wstrzymał powóz i do drzwiczek przystąpił.

»Dokądże mnie wieziecie?« zawołał pan Chay w trwodze śmiertelnéj, »*dove andate? dove caminate?*«

—»*A Firenze*« odpowiedział konduktor.

—»Do Florencyi! zapewne żartujecie ze mnie! Wysiądę... tu w téj wiosce... zdaje się mi, że to *le* Bausset... Oto pięć franków za drogę... pójdę piechotą do Marsylii.«

—»Jeszcze dobrze wyszedłem« pomyślił artysta i otwiérając drzwi nadybanéj szynkowni zawołał: »*Garcon* przynieś piwa!«

Młoda, świéża dziewczynka wybiegłszy, z uśmiechem na twarzy rzekła: »*Non c'é bierra.*«

—»Ale co to się znaczy? — Samych napotykam Włochów!« mówił pan Chay. »Jak się ta włość nazywa? *Il nome di quel vilagio?*«

—»Ponto d'Era.«

—»Nie jestżeto le Bausset?«

—»Ponto d'Era.«

—»Jak żyję o takiéj wsi nie słyszałem. Ale z Ponto d'Era gdzie się idzie? do le Bausset?«

—»Do Doppo Ponto d'Era Empoli.«

—»E Doppo Empoli? le Bausset?«

—»Firenze.«

Pan Chay z przerażenia obie ręce na stół opuścił i zdawało się, że go apoplexyja tchnęła. Potrzebował do upamiętania się z cwierć godziny czasu. Wypiwszy kieliszek likworu, odzyskał siły i odszedł dla zbadania miejscowości.

Kilku żołniérzy z pułku francuzkiego przechadzało się po wsi. Pan Chay mniemał, że najlepiéj zrobi, gdy się uda do swoich ziomków dla powzięcia wyjaśnienia, bowiem trudno mu było dójść prawdy w tym dziwnym przypadku i potrzebował najjaśniejszego, najwyraźniejszego i najoczywistszego wykładu rzeczy, ażeby całkiem z-rozpaczeć. »Koledzy« rzekł do żołniérzy »widzicie oto przed

sobą biednego Francuza, który z drogi zbłądził. Jak się nazywa najbliższe z tąd miasto.«

— »Liworno,« odrzekł sierzant.

— »Ach, Boże! i ja jeszcze wątpić mogłem! A teraz powiédzcie mi przyjaciele, jak się nazywa to znowu drugie miasto, tam dalej, do którego idę?«

— »Florencyja. Czy to wszystko, co wpan wiedzieć chciałeś?«

— »Wszystko sierzancie.«

Słup soli na gościńcu do Sodomy, nie stał zapewne tak martwo i nieruchomo, jak pan Chay teraz na gościńcu toskańskim.

— »Widzę« rzecze wychodząc z wioski, »że będę musiał życiem to przepłacić! O przeklęty ptaku!«

Wyszedłszy na pole gościńcem ku Florencyi, wydobył strzelbę z futerału z szarego płótna, nabił kulą, a prosząc Boga o przebaczenie za występek, który miał zamiar popełnić, oparł czoło o lufę strzelby. Strzeliste westchnienie z wykrzykiem w mowie łacińskiej zakończył témi słowy: »I to wszystko dla jednego nędznego ptaka!«

Już chciał nogą spuścić kurek, gdy oto szelest na gościńcu odwiódł go od jego przedsięwzięcia. Dwóch młodych ludzi przechodziło tamtędy, a jeden z nich spostrzegłszy p. Chay w téj rozpaczającéj postawie, zapytał go po włosku z akcentem francuzkim: »*Dove sone le rovine del tempio etrusco?*« Pan Chay odpowiedział dosyć ofukliwie w narzeczu prowanckiém: »*Ana vo demanda aï pastré d'aqui*«, co po polsku znaczy: »Idźcie i spytajcie o to pastérzy, tam na dole.« Młody ów człowiek byłto Francuz i odpowiedź tę wytłómaczył na swój język: *En avant à main droite à trois pas d'ici.* Wyjąwszy pulares zapisał weń następującą mądrą uwagę: »Włościanin toskański lubi namiętnie polowanie; ma twardą i chropowatą wymowę włoską, a względem obcych okazuje się opryskliwym.« Byłto podróżnik francuzki, badający charakter narodów.

Pod czas gdy młody Francuz w ten sposób pulares swój ubogacał, pan Chay wziął na cel i strzelił do dzikiéj kurki. Ptak trzepocząc się jeszcze, wpadł w potok koło gościńca, a za nim myśliwiec rozpromieniony radością wskoczył w trzcinę dla wydobycia swéj zdobyczy. Nabił powtórnie i rzekł sam do siebie: »Uważam, że kraj ten jest prawdziwém gniazdem dzikich kurek; daléj więc! idźmy, a tu się nam pewnie poszczęści!« I zagłębił się w piękną ulicę wiązów i winogradów, ciągnących się po obu stronach gościńca.

Tak idąc, zaszedł na tę śmiejącą się dolinę, którą Alfiery tak lubił, w dolinę Arnu z bujnemi zarysami pagórków, z wesołemi willami i ze świéżym potokiem, co modrawe nurty swoje powoli wężykiem toczył. Myśliwiec nasz z natury skłonny do podziwiania pięknéj przyrody, był w uniesieniu na ten widok; całą dolinę uściskał w osobie piérwszego drzewa, które nadybał na drodzę i zawstydził się na spomnienie, że o samobójstwie pomyślił. Zatopił się w widoku ślicznéj okolicy z lekkomyślnością artystowską, tak łatwo z rozpaczy do radości przechodzącą; nucił ulubione wtedy śpiewki z oper, co cwierć godziny wystrzelił, i było mu wszystko jedno, czy ubił czy chybił ptaka; ujrzał się w nowy świat przeniesionym i błogosławił owego nieszczęsnego ptaka, który mu rozkosz tę sprawił.

Zmrokiem stanął we Florencyi i wszedł do hotelu pod czarnym orłem; *borg' ogni santi.* Zawołał posługacza i spaniałomyślnie wręczył mu pietnaście sztuk różnéj źwierzyny, ubitéj w dolinie Arno.

Posługacz z czarnego orła był to dawny żołnierz francuzki.

»Uważam« rzekł do pana Chay, »że wpan jesteś zręcznym strzelcem.«

— »Nie chwaląc się, dosyć dobrze strzélam« odpowiedział artysta.

— »Toś wpan trafił w przewyborną do polowania krainę; jeśli się trudów nie lękasz, radziłbym przejść się w góry, od strony Poggi-Bouzi i Sieny. Tam znajdziesz czego dusza zapragnie. Ja sam, już tam wiele razy strzélałem.«

— »Dobrze, pójdę tam jutro... jak się nazywa?«

— »Poggi-Bouzi.«

— »Prześlicznie! Proszę cię napisz mi tę nazwę i wskaż drogę.«

»Najchętniéj.«

Gdy nazajutrz pan Chay ubrany i uzbrojony zeszedł do sali gościnnéj i rachunku żądał, posługacz oświadczył mu imieniem

swojego pana, że nic nie potrzebuje płacić i że jemu jeszcze za źwierzynę dziękują.

— »Patrzcie!« powiedział p. Chay sam do siebie, »tym sposobem mógłbym zajść na koniec świata, gdybym tylko zawsze napotkał źwierzynę. Daléj przeto w drogę!«

Z tym więc zamiarem udał się do Poggi-Bouzi i ku Apeninom. Dopiéro późno wieczorem przybył do Sieny. Znowu zaopatrzony w źwierzynę i tam wszedł do gospody, także pod czarnym orłem. Hojnie zdobyczą swoją obdarzywszy posługacza oberzy, dostał za to wyborną wieczerzę i porządny pokój, ozdobiony wizerunkiem St. Katarzyny Seneńskiéj, a nazajutrz pokazano mu drogę do Torrinieri.

Ekonomiczny ten sposób podróżowania stokrotnie jeszcze powiększył żądzę myśliwską artysty. Krwawy ślad zostawił po sobie na smutnych nizinach Torrinieri, na bagnistych dolinach Riccorsi, na wulkanicznych szczytach Radicoffani, w wężykowatych zakrętach Paglii, w Ponto Centino dawnym obwodzie Porsenny, w chaszczach Aqua-pendente, na brzegach jeziora Bolseny, w winnicach Monte-Fiascone, w ogromnéj do Viterbo prowadzącéj puszczy, w rozbójniczym lesie, który rozciągając się za Viterbem pod obłoki się wspina, a potém zniża się ku jeziorowi Vico, w gaju piniowym Ronciglione, na okrągłéj łące Baccano i na jednostajnych żuławach Storty. W pięciu dniach przebył wygodnie to całe pasmo Apenninów.

Pewnego wieczora około dziewiątéj wszedł do nieznanego miasta, nieoświetlonego latarniami. Znużył się nareszcie ten nieznużony myśliwiec. Na rogu pewnego placu spostrzegł kawiarnię i wstąpił tam dla wypocznienia. Blizko niego rozmawiano po francuzku.

— »Proszę przebaczyć« odezwał się p. Chay do jednego z mówiących »czy nie byłbyś pan łaskaw powiedzieć mi nazwisko tego miasta?«

— »Którego miasta?« spytał zagadniony.

— »Tego, do którego właśnie przyszedłem.«

— »Żartujesz, mój panie!«

— »Bynajmniéj; w istocie się pytam.«

— »Wpan do Rzymu przybyłeś.«

— »Do Rzymu! O, najświętsza panno! Chciéj mi pan łaskawie wskazać oberzę.«

— »Idź wpan przez Monte-Citorio, spytaj się o plac St. Augustyna, tam znajdziesz oberzę *alla Torretta*, z któréj zadowolony będziesz.«

— »Stokrotnie dziękuję wpanu.«

Tu się kończy bajeczna na pozór, a jednak prawdziwa historyja polowania pana Chay. Artysta ten zaszedł aż do Rzymu, dla tego że w lasku koło Marsylii ptaka chybił. Stało się to pod konzulatem pana Norvins, który pisał dzieje Napoleona. Pan Chay nie chciał powracać wodą do Francyi z bojaźni przed Anglikami, a że podróż lądem zbyt się mu daleką wydawała, uprosił sobie posłuchanie u pana Norvins i swoje mu położenie przedstawił. Uczynny mąż ten umieścił p. Chay przy administracyi, którą to posadę nasz myśliwiec aż do r. 1814 piastował. Po zawarciu pokoju wrócił do Marsylii i odtąd stał się spokojnym wieśniakiem, którego życie między graniem na wiolonczeli, a polowaniem przyjemnie upływa.

POEZYJA.

UROJENIA WIOSENNE.

(Podsłuchano.)

DUMA PRZY KROSIENKACH. *)

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upaduie;

*) Wiérszyk ten (z noworocznika: Melitele na r. 1837.) godzien jest szczególnéj uwagi każdego, kto rozumie poezyją. Wiele mówiono o niezdolności polszczyzny do wydania lekkich pomysłów; a przecięż w żadnym języku nie zdarzyło nam się czytać nic bardziéj wdzięcznego (gracieux), bardziéj napowietrznie lekkiego nad te kilkanaście wiérszy. Nie w tém wszakże istotna ich wartość, to tylko są zalety formy; ale ta cudna prawdziwość, ta żywa natura, to wcielenie płochych, mglistych, niedokończonych pomysłów młodéj, wesołéj dziéwczyny, coto myśla sto różnych rzeczy draśnie, a zawsze w końcu do jednego przechodzi punktu: oto w czém widać najwyższą sztukę. W czasach drobiazgowéj krytyki, kiedy każdą rzecz na atomy rozbierano, kiedy Laharpe, w swoim »*Cours des belles lettres*« spory rozdział poświęcał na rozbior jednéj bajki Lafontaine'a »Dąb i Trzcina« — możnaby było napisać cały traktat o tym na pozór małoznaczącym wierszyku. W tém jednem: »O! widać i słychać!« jest więcéj poezyi, niż w wielu poematach o dwunastu pieśniach. Zaiste, słusznie poeta nazwał swój wiersz *podsłuchaniem*: podsłuchał on nie mowę ust, ale bicie serca. Niepospolity to artysta co tak umie podsłuchać i z tego co słyszał tak ładną upleść plotkę. *(T. P.)*

I moje kwiateczki, z rozpukłych zasłonek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka
I milej z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po Kwietnéj, po Świętnéj, — z Przewodną niedzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, w niebieskie listeczki!
O! milsze krosienka,
i t. d.

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu,
Dość o mnie, o kwiatkach — co? jakie do twarzy?
Co? jakie mam upleść w warkoczu?
O! milsze krosienka,
i t. d.

O! wiém ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdy odsłoni;
Lilije uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach na skroni.
O! milsze krosienka,
i t. d.

Wieczorem, za dworem, gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku;
O! prędzéj, co prędzéj u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku;
O! milsze krosienka,
i t. d.

Gość jedzie, — już w bramie; rże konik z podwórka.
Mój Boże! ach! co go przywiodło?
I woła i pyta: »a państwo, a córka?«
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka,
i t. d.

Od brzęku, od dźwięku, ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko — bo wojak to wielki, —
Wszelako nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka,
i t. d.

Groziła mi ciocia! — o! gdzie tam! — co cioci! —
Groziła z uśmiéchem, nie szczerze;
»Bałamut!« — o gdzie tam! — to anioł dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka,
i t. d.

On idzie i kłania, i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskromnie,
Pochlebnik! — o biédny! on wzdycha.
O! milsze krosienka,
i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!...
Lecz będę, o! będę ostrożna!...
Całować chce różę, — dalibóg zaczyna; —
O proszę! nie można! nie można!
O! milsze krosienka,
i t. d.

J. B. Z.

PÓŹNIEJSZE WIADOMOŚCI O METODZIE
PANA JAŹWIŃSKIEGO *)

(Z listu z Paryża z miesiąca czerwca b. r.)

Nie piszę o uroczystościach i przygodach, jakich Paryż i okolice jego były świadkiem z powodu zaślubin następcy króla Francuzów. Rzeczy te, obszernie i starannie opowiedziane w dziennikach, mogąż nas oprócz tego tyle zajmować, ile Francuzów? Natomiast zwracam uwagę na rzeczy dla nich obojętniejsze, drobne, w pismach zaledwie spomniane, albo wcale pominione, ale nas obchodzące.

Do nich policzę najprzód usiłowania towarzystwa, zawiązanego tu w celu rozszerzania mnemonicznéj metody, wynalazku pana Jaźwińskiego, a zwanéj m e t o d ą p o l s k ą. Towarzystwo to złożone z Polaków i Francuzów, musiało na niejaki czas przerwać swoje działania z przyczyny processu sądowego, od którego wypadku zależał los Towarzystwa, a może saméj metody. Wytoczył go księgarz Pesron, któremu pan Jaźwiński wynalazek swój był sprzedał; kilka wyrazów nie dokładnie oznaczających przedmiot umowy, naprowadziło tego księgarza na myśl, że tylko on jeden jest właścicielem téj metody, że tylko jemu samemu wolno ogłaszać i sprzedawać ściągające się do niéj tablice i pisma. Zapozwał więc przed kratki sądowe pana B., któremu pan Jaźwiński, odjeżdżając do Petersburga, ustąpił prawa rozwijania i zastosowania dalszego swéj metody, i p. Michalskiego, który w niéj, szczególniéj co do rachunków, istotne uczynił ulepszenia. Księgarz Pesron żądał wyroku, któryby mu przyznał wyłączną własność wszelkich zastosowań metody polskiéj, i nakazał zniszczenie wszelkich pism i tablic, ogłoszonych z niemałym kosztem pod imieniem pana Michalskiego. Adwokat strony pozwanéj wystawił sądowi niepodobieństwo takiego samokupstwa, jako szkodliwego postępowi nauk i dowodził: że zastosowania metody polskiéj do rachunków, ogłoszone pod imieniem pana Michalskiego, nie mogły być objęte w umowie między panem Jaźwińskim a księgarzem Pesron, albowiem te dopiéro po wyjeździe pana Jaźwińskiego z Paryża, były uskutecznione, że zatém pan Pesron nie może za-

*) Ob. Rozmaitości Ner. 7. z r. b.

braniać sprzedaży druków, które zawierają nie same początkowe zastosowania metody, ale ulepszenia zaprowadzone w niéj bez przyłożenia się pana Jaźwińskiego. Sąd przychylił się do tych wniosków i lubo przyznał księgarzowi Pesron własność metody polskiéj w zastosowaniach nabytych do dziejów i chronologii, o ile te zastosowania były dziełem pana Jaźwińskiego, zostawił jednak nowym nabywcom metody wszelką wolność zastosowania jéj do wszelkich innych wiadomości ludzkich i rozkazał zwrócić im zabrane przez księgarza Pesron druki. Po takim wypadku processu Towarzystwo przystąpiło znowu do prac przerwanych i rozpoczęło je od wezwania publiczności na posiedzenie, urządzone w celu przypomnienia jéj dawniejszych usiłowań i pokazania nowych uczniów. Proces przerwał publiczny wykład metody polskiéj, ale nie mógł zatrzymać rozpoczętych prywatnie lekcyj i posiedzenie to przekonało, że metoda ta rozszérza się coraz bardziéj w prywatnych zakładach naukowych. Tym razem popisywały się nietylko nowe uczennice z pensyi Panny Clair, ale co zupełnie nową było rzeczą, kilkunastu uczniów z pensyi pp. Glashin i Michalskiego, którzy swego lokalu na posiedzenie pozwolili, potwierdziło zadziwiającemi odpowiedziami, przekonanie o pożyteczności motody polskiéj. Niektórzy właściciele pensyj prywatnych chcąc się bliżéj obeznać z rzeczywistą wartością téj metody, zadawali sami uczniom stósowne pytania i oświadczyli, że pomimo uprzedzeń, jakie obudza każda nowość, przestali wątpić o skutkach nadzwyczaj pomyślnych z rozszerzania tego naukowego wynalazku. Kiedy sekretarz towarzystwa w krótkiéj do publiczności przemowie przebiegł początek i koleje metody polskiéj, a kończąc, spomniał: że lubo wynalazek ten należy się cudzoziemcowi panu Jaźwińskiemu, jednak Francuzi spólnie z ziomkami wynalazcy, nie pozwolą jéj zaginąć; odezwał się nagle jeden z obecnych Francuzów i oświadczył, że zanosi publicznie protestacyję przeciw temu, co sekretarz powiedział, a mianowicie, iż wynalazcą téj metody nie jest Polak, ani żaden inny cudzoziemiec, ale Francuz. Tak niespodziana protestacyja zwróciła naturalnie całą uwagę zgromadzenia; wszyscy utkwili wzrok w protestującego. Gdy skończył, prezes Towarzystwa, p. Taillefer, inspektor uniwersytetu, prosił go, aby wymienił nazwisko prawdziwego wynalazcy, gdyż to, co powiedział, nie może być obojętne dla Towarzystwa, zawiązanego w celu rozszerzania téj metody. Protestujący wnet go zaspokoił, sobie samemu przypisując ten wynalazek. Oświadczenie to, z pewnością wymówione, w jednych obudziło śmiech, innych zajęło do tego stopnia, że głośno zaczęli żądać, aby prawda została wyjaśniona, gdyż w tém honor Francuzów jest interesowany. Tak więc niespodzianie zamieniło się posiedzenie, na które kilkaset osób przybyło w celu słyszenia popisujących się uczniów z wypadkami metody polskiéj, na zgromadzenie rozprawiające. Nie wiadomo, jak to wszystko byłoby się skończyło, zwłaszcza w nieobecności pana Jaźwińskiego, który sam jeden najskuteczniéj byłby mógł stanąć w obronie własnéj i odeprzeć zarzut przywłaszczenia sobie cudzego wynalazku, gdyby na szczęście nie przyszło na myśl prezesowi Towarzystwa zapytać protestującego o nazwisko i o rok, w którym tę metodę wynalazł. »Nazywam się« odpowiedział »Lidieu, a wynalazłem tę metodę 1831 albo 1832 roku.« Usłyszawszy to nazwisko jeden z obecnych Francuzów, oświadczył, iż lubo nie ma zaszczytu znać pana Lidieu, zdarzyło mu się przecież kilkakrotnie słyszéć, że ile razy zjawi się jaki nowy wynalazek, on nie waha się głosić, że piérwsza myśl jemu się należy i nie ma prawie nowego pomysłu, któregoby sobie nie przywłaszczał. Wyrazy te rozweseliły całe zgromadzenie, ale nie pokonały jeszcze protestującego. W zabranym na nowo głosie obstawał ciągle przy swojém twierdzeniu, opowiadał, że przez kilka lat był w Polsce, że zna tamtejsze zakłady naukowe, a nigdzie nie słyszał tam o metodzie polskiéj; że dopiéro od kilku lat udzielił w Paryżu panu Jaźwińskiemu swego wynalazku i nie mało się zdziwił, że ten go sobie przywłaszczył. Po téj mowie wystąpił pan Sales, professor i nazwał pretensyję pana Ledieu tym niesprawiedliwszą, iż zaświadczyć może, że już roku 1830, a zatém przed wynalazkiem mniemanym p. Lidieu, słyszał pana Jaźwińskiego publicznie w Lugdunie, wykładającego swoję metodę. Cała ta, więcéj komiczna, a niżeli pana Jaźwińskiego krzywdzić mogąca scena, zakończyła się głosem pana Olizara, który zwrócił na to uwagę, że p. Lidieu miał kilka lat do upominania się o swą własność w czasie bytności pana Jaźwińskiego w Paryżu, czego jednak nie uczynił, i że zapóźna protestacyja jego dzisiejsza, powinna być tylko uważana za nieroztropne i najniesprawiedliwsze przywłaszczanie sobie cudzych zasług. Zgromadzenie rozeszło się w zupełném przekonaniu, że pan Lidieu tak, jak jest w rzeczy saméj, ma maniję przypisywania sobie wszelkich wynalazków. Był on w istocie nauczycielem prywatnym w domu Ossolińskich i na dowód tego przemawiał do obecnych Polaków zepsutą polszczyzną. Metoda polska wykładana jest teraz publicznie przez pannę Clair, a w krótce otworzone będą dwa nowe kursa w innych częściach Paryża. Towarzy-

stwo zajmuje się teraz przełożeniem rządowi i instytutowi pożyteczności téj metody i będzie prosiło o wyznaczenie komissyj, któreby zdanie swoje w téj mierze wyrzekły. Jeśli to zdanie dla metody będzie przyjazne, o czém nie można wątpić, metoda polska może zastąpi w szkołach początkowych, kosztem rządu utrzymywanych, obowiązującą tam dotychczas rutynę, co nie byłoby rzeczą niezwyczajną, bo jak wszystko we Francyi, tak i system pedagogiczny jest przedmiotem ciągłych badań i przemian. Jak dawniej metoda Lankastra, tak dziś metody nowe, pomiędzy któremi piérwsze miejsce zajmują wynalazki pana Jazwińskiego i p. Aimé Paris, ubiegają się o wywrócenie dawniejszego sposobu instrukcyi w szkołach początkowych. P. Paris zaprosił był także niedawno publiczność na posiedzenie dla pokazania skutków swej metody i lubo nie mógł popisywać się z uczniami, ale własną biegłością pamięci zadziwił niezmiernie słuchaczów i zwrócił powszechną uwagę na swoję metodę. Pozwolił sobie zadawać tysiączne pytania z chronologii i rachunków i na wszystkie odpowiadał bez żadnego namysłu. Rozrywano go pytaniami i odpowiadał przez dwie godziny, prawie niestrudzony. W końcu prosił, aby rozmaite osoby napisały na tablicy sto liczb setnych, które dla kontroli inni przepisali na kartkach; przypatrzywszy się tym liczbom zaledwie parę minut, zmazał je z tablicy, i powtórzył tym samym porządkiem, w jakim były pisane, z pamięci i bez pomyłki. X. B.

— Ze Lwowa. —

Śmierć Wallensztajna, poemat dramatyczny Fryderyka Szyllera, przekładania J. N. Kamińskiego, opuścił prassę w drukarni Piotra Pillera. — Staraniem J. Millikowskiego księg. lw., wychodzi w Lipsku czwarte wydanie Maryi Malczewskiego, poprawne i pomnożone mało znanemi dotąd jego płodami wierszem i prozą, oraz dokumentami, wyjaśniającemi zdarzenie, jakie autor obrał za treść swego poematu.

Znany zaszczytnie malarz, Aloizy Reichan, opuszcza stolicę naszę, i udaje się w podróż do Niemiec i Francyi, dla zwiedzenia znakomitszych tamtejszych pracowni malarskich i dla wydoskonalenia się w swej sztuce, po czém zaopatrzony nowemi zasobami smaku, do stolicy naszéj powróci.

Z Paryża. (Wyciąg z listu.) Antoni Oleszczyński wyrytował kilka obrazów z galeryi Wersalskiéj. W drugim zeszycie dzieła pana Gavard, ogłaszającego rytowane kopie téj galeryi, znajduje się jedna z tych rycin. Obok dalszéj pracy dla tego dzieła, zajmuje go teraz rytowanie wizerunku lorda Dudlej Stuart. — W rękopisach tutejszego księgozbioru królewskiego znaleziono ważne pismo, ściągające się do dziejów polskich. Jest to w polskim języku ułożone zdanie sprawy niejakiego Haraburdy, z poselstwa do cara moskiewskiego, któremu Polacy r. 1572. ofiarowali koronę po śmierci Zygmunta Augusta. Obszerniejszéj wiadomości o tym rękopisie udzielę później. W zeszycie wychodzącego tu pisma miesięcznego *Revue du Nord*, za miesiąc maj, znajduje się obszerna wiadomość o wychodzącem w Warszawie dziele p. Wojcickiego: Klechdy. Dołączone jest tłumaczenie powieści Trojan król Serbski i Walkierz z Wislan. X. B.

Z Warszawy. Jan Szymaniecki, dawniéj major b. wojsk polskich, zakończył życie dnia 15. lipca przeżywszy lat 54. Ozdobą jego była dobroć serca i piękne umysłu przymioty. Pracował dla literatury; pozostały po nim pisma; przysłużył się i scenie kilką tłumaczeniami; miał wydać opis podróży, którą dawniéj odbył.

Na dawnych publicznych wystawach sztuk pięknych w Warszawie, między arcydziełami różnych mistrzów malarstwa, publiczność podziwiała dzieła oryginalne pędzla i pomysłu Januarego Suchodolskiego, a znawcy przyznawali zasłużone pochwały temu znakomitemu talentowi. Suchodolski później bawił blisko przez lat 4 we Włoszech, a najwięcéj w Rzymie, z kąd przed para tygodniami wrócił do tutejszéj stolicy i przywiózł wiele obrazów przez siebie wypracowanych. Celniejsze z nich sprawiedliwie okrywane pochwałami są: Obrazy oryginalne: Przejście góry S. Bernarda przez wojska francuzkie w roku 1800. Napad rozbójników na podróżnych w Kalabryi. Powrót z winobrania (3cia replika) w okolicach Terracina. Araby w stepach piasczystych. (Widok nocny). Gruppa rybaków Neapolitańskich przy ogniu. Dwa krajowidy morskie z natury, jeden z okolicy Mole di Gaeta. Dwa widoki wyspy Kapri. Pogorzelcy etc.

Rzezbiarz Dawid wykończył nareszcie po dwuletniéj pracy płaskorzeźbę na przyczołek Panteonu w Paryżu. Dzieło to jest uzmysłowieniem napisu na Panteonie: «Wielkim mężom wdzięczna ojczyzna.« W środku na ołtarzu umieszczona jest duża majestatyczna figura z gwiaździstym wieńcem na skroniach. Wyobraża ojczyznę, wielkim mężom wawrzyny rozdającą. U nóg jéj siedzą historyja i wolność. Po prawéj stoją sławni mężowie ze stanu cywilnego, po lewéj sławą okryci wojownicy: tam Malesherbes, Fenelon, Mirabeau, Laplace, Cuvier, malarz Dawid i t. d., tu jenerał Bonaparte w mundurze republikańskim, w gronie żołnierzy rozmaitéj broni, między tymi stary grenadyjer, wtedy jako nieustraszony młodzieniec, bębniący do ataku na moście pod Arcole. (Jest ón teraz doboszem 10. legii paryzkiéj gwardyi narodowéj.) Po obu bokach umieszczone grupy młodzieży, przygotowującéj się na usługi dla ojczyzny. Z tych niektórzy w mundurze szkoły politechnicznéj zdają się być zatopieni w rachunkach, kreślonych im przez pana Arago.

W Węgrzech w komitacie Preszburskim, w miasteczku Nádas, obchodzono nie dawno pierwszy festyn róż. JX. Emeryk Stwerteczky, dziekan i proboszcz w pomienionem miejscu, zapisał na cel ten 2000 złr. m. k. Procent od téj summy (100 złr. m. k.) przeznaczono najcnotliwszéj i najobyczajniejszéj dziewicy, uznanéj za taką większością głosów, do których każdy ojciec familii ma prawo. Przypadający procent aż do za-mąż-pójścia uwieńczonej dziewicy w kassie gminnéj złożony będzie; gdy uwieńczona panną umrze, rodzice dostaną po niéj 20 złr. m. k., a resztę pierwsza po niéj w cnocie dziewica, z obowiązkiem, ażeby na grobie zmarłéj sadziła i pielęgnowała róże. Festyn ten co roku na Zielone Święta odprawiać się będzie.

Jedno z pism paryzkich donosiło, że p. Viennet miał oświadczyć, iż orderu legii honorowéj nosić nie będzie, ponieważ takowy (jak wiemy z gazet) dano także naczelnikowi szkoły romantycznéj, p. Wiktorowi Hugo. Na artykuł powyższego pisma umieścił p. Viennet w drugim dzienniku następującą odpowiedź: »Nie powiedziałem, iż oficerskiego krzyża orderu legii honorowéj nosić nie będę, odkąd takowy naczelnik szkoły romantycznéj otrzymał. Wyjmując wstążeczkę z dziurki od guzika, gdzie ją sam cesarz był zatknął, poszedłem tylko za przykładem większéj części jenerałów dawnéj armii, którzy uznają, że teraz bez orderu łatwiéj jest na ulicy zwrócić na siebie uwagę. Nie idzie tu ani o romantyków, ani o klasyków. Rzecz naturalna, że minister romantyk rozdaje przyjaciołom swoim orde-

ry, byłoby jednak sprawiedliwiéj, gdyby tym rozdawano krzyże kawalerskie, którzy mają tyle odwagi, i wiersze lub prozę panów romantyków całkiem odczytać mogą, a krzyże oficerskie tym, którzy ich mogą zrozumieć. Nadto życzyłbym sobie, ażeby między autorów, piszących paskwile na wielkie władze państwa, na parów i deputowanych, rocznie tylko dwanaście orderów rozdawano, gdyż nawet przy zachęcie miarę mieć należy. (Podpisano) Viennet.«

Fox miał zwyczaj przy czytaniu książki przekréślać ołówkiem wszystkie niepotrzebne słowa. Exemplarz Gibbona: »Dziejów angielskich« ma być z tego względu szczególnie ciekawym. Nie jeden z autorów naszego czasu stałby się zerem, gdyby go Fox był czytał.

Pomnik dla wynalazcy sztuki drukarskiéj Jana Guttenberga w Moguncyi, nie licząc znacznéj summy, przeznaczonéj na obchód poświęcenia, a która z kassy miasta opędzoną zostanie, kosztować będzie 26 do 27000 złr. mon. kon., na co daleko większa byłaby wyszła summa, gdyby nie kosmopolityczna spaniałomyślność Thorwaldsena, który planu i modeli bezpłatnie udzielił i wreszcie gdyby jedna z płaskorzeźb nie była darem zakładu Stadela i towarzystwa sztuk pięknych we Frankforcie. Do powyższych wydatków przyczyniła się Europa, co wyrażone będzie w następującym głównym napisie, mającym być u stóp statui umieszczonym:

Joannem Gensfleisch de Gutenberg,
Patricium Moguntium,
Aere per totam Europam collato
Posuerunt Cives.
MDCCCXXXVII.

Dotąd wpłynęło 18,848 złr. 15 kr., nie dostaje zatém jeszcze 7 do 8000 do obliczonéj na wydatki summy, lecz jest nadzieja, że ta późniéj przez składki uzupełnioną zostanie. Gdyby to jednak nie nastąpiło, uroczyste poświęcenie pomnika nie będzie przez to odłożoném, ileże kassa miejska bierze na siebie tymczasowe potrzebnéj summy zastąpienie.

Kilka na grób rzuconych kwiatów. *Le Charivari*, satyryczny dziennik francuzki, którego wszyscy lękają się w Paryżu i który wszystkich bawi; dowcipne pismo nikogo nieochraniające, nad nikim nie mające litości, a które pociski swoje na groby nawet rzuca, w ten sposób opowiada o pewnym przypadku śmierci, nie dawno cały Paryż zajmującym: »Będzie temu — pisze — lat ośmnaście, gdy czuła scena zaszła w jednym z lasów afrykańskich. Liczna familija słoniów obchodziła urodziny nowego potomka. Było to córka, która się prędko w dojrzałość rozwinęła. Dano jéj imię Miss Djeck, nazwę nie bardzo harmonijną, ale która kumom wielce się podobała. Rozum i piękność panny Djeck wzrastały w równym stosunku. Nie było talentu, któregoby sobie z najświetniejszym nie przysposobiła skutkiem. Familija jéj przeto postanowiła te nadzwyczajne zdolności na większéj okazać widowni. Podróż do Francyi przedsięwzięto w tym celu. Wybrano Francyję jako kraj, gdzie zwierzęta najwięcej doznają względów, a teatr *Porte-St. Martin* za widownię, któraby téj samicy z rodzaju słoniów najlepiéj puszczę przypominała. W dwa miesiące po udaniu się w podróż, pierwszy raz wystąpiła panna Djeck w Paryżu tak w naiwnych, jakoteż w innych młodych rolach. Wiadomo jakie odniosła pochwały i jak prędko artystyczną zjednała sobie sławę. Listz poświęcił jéj sonatę na cztery ręce, na tema o kolejach żelaznych; Balzac udarował ją zwojem autografów, pani Poutres de Mauschamps dawała na cześć jéj herbatę, a Dumas bal kostiumowy. Ale Paryż jest to kapryśny sułtan, co łatwo w zły humor wpada. Miss Djeck zachwycając go przez kilka miesięcy, uległa powszechnemu losowi artystów: musiała odjechać. Przebiegłszy prowincyje francuzkie, udała się do Szwajcaryi, gdzie cała zgraja nowoczesnych literatów rozpatrywała się w pięknych okolicach i piła ośle mleko. Miss Djeck zostawiwszy wszelką przyjemność życia w Paryżu, uległa widocznie ponuréj melancholii. Dnia jednego dostawszy pomieszania zmysłów, gospodarza swojego, który przyszedł dowiedzieć się o jéj zdrowie, udusiła swoją z wściekłości rozsrożoną trąbą. Słynne zegarkami miasto Genewa dowiedziawszy się o tym mordzie, tak się dalece przelękło, że nie bacząc na łagodzące okoliczności, skazało pannę Djeck na śmierć. Oddano ją oprawcy, który kulą działową w samo ją serce ugodził. Ze względu na jéj wagę i otyłość nie można o niéj powiedzieć: *Sit illae terra levis!* lecz przeciwnie należy życzyć: »*Sit illa terrae levis!*« — Z innych pism dowiadujemy się, że skorę i szkielet tego w Genewie zastrzelonego słonia umieszczono w muzeum tamtejszém. Mięso sprzedawano amatorom po zwyczajnéj cenie wołowiny i rozchwycono je w przeciągu kilku godzin. Z powierzchowności i smaku było podobne do najlepszego wołowego mięsa. —

Szlachetny syn. Na galerach w Rochefort przebywa więzień, którego syn może być wzorem cnoty nazwany. Ojciec popełnił zabójstwo. Syn przeniknięty okropnością losu, jaki ojca oczekiwał, podejrzenie zbrodni starał się zwrócić na siebie. Udało się mu to i skazany został na całe życie na karę galerową. Często widziano go jak blady i pomieszany, jednak z rezygnacyją, znosił krzywdzące go obchodzenie się z nim kolegów, lecz znajdował pociechę w wewnętrznéj szlachetności swéj duszy i w czystości sumienia. Dnia jednego wchodzi komisarz do tego więźnia i oświadcza mu, że to ojciec jego ów mord popełnił, za który ón teraz cierpi, i że od téj chwili jest wolnym. Syn z nadaną obojętnością dowiaduje się o losie ojca i gdy mu powiedziano, że umarł, milczy wprawdzie, ale od łez wstrzymać się nie może. Opuszczając miejsce swoich cierpień, przebacza dręczycielom i szczupłe mienie swoje rozdaje między towarzyszów niedoli. Tym czasem o jego ojcu umyślnie tylko fałszywą doniesiono mu wiadomość i w godzinę po oddaleniu się syna, ojca do galer przykuto. Za zdarzenie to oczni świadkowie zaręczają.

Wdzięczność. Pewien kapitan algierski był na wyprawie rozbójniczéj schwytany przez okręt francuzki, którego dowódzca obchodził się z nim pod czas niewoli po ludzku i łagodnie, a w końcu wolnością go udarował. Późniéj tenże dowódzca dostał się do niewoli algierskiéj i miał być własnie do wylotu działa przywiązywanym, gdy go Algierczyk poznał. Spieszy więc do deja z prośbą o ułaskawienie Francuza i wymienia powody, które go do tego skłaniały. Rozgniewany dej nie słuchał proszącego i kazał z działa wystrzelić. Widząc to Algierczyk i nie namyślając się długo, rzuca się na Francuza, ściska go, mocno obejmuje ramionami, a obracając się do puszkarza, rzecze spokojnie: »Strzélaj teraz! kiedy dobroczyńcy mojego ocalić nie mogę, to przynajmniej umrzeć z nim pragnę.« Scena ta na wszystkich obecnych wielkie sprawiła wrażenie; puszkarż odstąpił od działa, a lud uwolnił Francuza mimo rozkazu deja, który nie rozrzewnił się wprawdzie wdzięcznością swojego ziomka, ale i uwolnieniu Francuza przeszkodzić nie mógł.

Redaktor Jan Nep. Kamiński.   *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*